Zeszyt 6. Rok I.



Lwów 7. Marca 1886. **Tygodnik belletrystyczny.** Wychodzi co niedzielę.

Przedpłata wynosi:
we Lwowie rocznie zł. 7·40 — półrocznie zł. 3·70 — kwartalnie zł. 1·85.— Z przesyłką pocztową rocznie 8 zł. półrocznie 4 zł. — kwartalnie 2 złr. Za granicą 16 marek.

Adres administracji:
Lwów, ulica Jagiellońska l. 16.
(Kantor „Drukarni Polskiej").

Redaktor i wydawca STANISŁAW MANIECKI.

MARZNĄCE FALE.

POWIEŚĆ

przez WALEREGO PRZYBOROWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Nareszcie goście zaczęli się schodzić. Najprzód przyszedł stary buchalter Millera, niemiec, nazwiskiem Lape, zasuszony i pargaminowy na twarzy, ubrany w czarny, przedpotopowej formy surdut, w stojące kołnierzyki, które podrzynały mu uszy i w wielki atłasowy halsztuk na szyi. Skłonił się pokornie Millerowi i Minie i stanął pod oknem.

— Zbliż się pan do nas, panie Lape — mówiła Mina — i siądź pan przy mnie. Czy się pan kobiet boisz? bo słyszałam, żeś się pan dotąd nie ożenił. Nie są one tak straszne, jak się wydają...

Miller roześmiał się, a Łape zarumieniony siadł na rożku krzesła i niewiedząc co z nieszczęsnemi rękami zrobić, mówił złą, łamaną polszczyzną:

— Ja nie miał czasu ożenić się..... nigdy nie miał czasu... Pan Miller to dobrze wie, że ja nie miał czasu....

Uniewinniał się, jakby popełnił zbrodnię i pociągał nerwowym ruchem nieposłuszną i trochę przykrótką kamizelkę, uparcie podnoszącą się do góry.

Potem zjawił się sam jeden Julek Zaremba. Ubrany wytwornie, jakby wycięty z najświeższego żurnalu, we fraku i z klakiem w ręku, kłaniał się zgrabnie i uśmiechał szczerze. Mówił, że przyszedł pierwszy złożyć swe życzenia Millerowi, bo nie mógł się doczekać, aż się tam panie wybiorą, że byłby to rano jeszcze uczynił, ale wie, że Miller jest wtedy mocno zajęty i nie lubi, by mu przy pracy przeszkadzano. Brat jego przyjedzie z kobietami, które jak zwykle guzdrzą się ze strojami; że czekanie ogromnie go nudzi, że już i tak jest dość nudów na świecie, nie widzi więc racji dobrowolnego ich zwiększania.

Mina z ciekawością wpatrzyła się w wesołą, wcale nie zdradzającą nudów twarz młodzieńca, i podobała się jej bardzo jego elegancja, swoboda w obejściu i ruchach, czego dotąd nigdy nie widziała u ciężkich, gburowatych Niemców, z którymi dotąd żyła. Z zajęciem wlepiła w mówiącego o nudach na świecie Julka swe czarne, ogniste oczy, w których migotały połyski lekkiej ironji. Poczęła mu przeczyć, że świat nie jest tak nudnym jak się wydaje, że ona zresztą bardzo jest z tego zadowoloną, że żyje i że jest młodą. Ta młodość mówiła ogniem i blaskiem z jej aksamitnych oczów, z jej lekko zarumienionej twarzyczki, z jej ust rubinowych, namiętnie rozchylonych, z jej nozdrzów chwytających powietrze, z jej piersi falujących rozkoszą życia i siły.

Miller zajął się rozmową z Lapem o interesach i dwoje młodych zostało samych ze sobą w tej wielkiej, pustej i mrocznej sali, po której tłukły się wielkie cienie i z której przeglądała surowa powaga. Ze ściany nad kanapą patrzyły na nich duże, spłowiałe oczy zgrzybiałej matki Millera z portretu, i zdawały

się mówić: „Cieszcie się życiem, pókiście młodzi i silni, bo niedługo tej młodości i tej siły.“

W końcu zjawił się Zygmunt Zaremba ze swą smutną, melancholijną twarzą, okraszoną w tej chwili konwencjonalnym uśmiechem; żona jego ślicznie wyglądająca w jasnej, złocistego koloru sukni, ze zwojami swych przepysznych blond włosów, z majestatem swej okazałej postaci. Przy niej dreptała panna Karolina, skromniutka, uniżona i cicha. Zaraz też pojawiła się i Joanna, zaczerwieniona od ognia w kuchni, jak zawsze surowa i poważna, ale grzeczna i zimna w obejściu. Przyszło jeszcze parę kobiet, znajomych Joanny: Niemki, stare i brzydkie, ubrane niesmacznie i pretensjonalnie.

Usadowiono się koło dużego stołu i gwarzono. W całem tem zebraniu panował niemiły chłód i sztywność mieszczańska. Kobiety oglądały się wzajemnie i krytykowały w myśli swe stroje. Rozmowa co chwila urywała się i ciężko nawiązywała, by znów za chwilę ustać. Robiło się wtedy kłopotliwe milczenie, tylko Julek i Mina, oddaleni nieco od stołu, przyćmieni cieniami dużej sali, wiedli żywą między sobą rozmowę, trochę przytłumioną i przerywaną co chwila wesołym, srebrnym śmiechem młodości. On ciągle i uparcie twierdził, że świat jest nudny, bardzo głupio stworzony i oparty na zasadach wysoce niemoralnych. Że Bóg, jeżeli istnieje jako coś odrębnego i samoistnego, jest strasznym Bogiem biblji i ludów pierwotnych. Że w wszechświecie istnieją tylko dwie zasadnicze siły: siła tworzenia i siła zniszczenia, że siły te ciągle walczą, ścierają się z sobą i nigdy się pokonać nie mogą, że ta walka ciągła, nieustanna i bezwzględna, jest właśnie faktem wysoce niemoralnym, złym i powodującym tę głęboką, ponurą niedolę wszystkiego co żyje.

— Czyż nie lepiej było — mówił — tworząc świat, stworzyć go takim, by nic w nim nie walczyło i nie niszczyło się wzajemnie? Czyż nie było daleko moralniejszem nadanie wszechbytowi spokoju, niczem niezamąconej ciszy i możności rozkoszowania się życiem? Po cóż są te brutalne stosunki tworu z tworem, te nieustanne, straszne, posępne swą fatalnością walki? Po co w głębi każdej istoty, nie wyjmując i najbardziej ucywilizowanego człowieka, tkwi ponura dążność do niszczenia? Nie, pani! może to wydać się nie bardzo rozumnem, ale gdybym ja świat tworzył, stworzyłbym go daleko lepiej i daleko uczciwiej.

Mina słuchała tych całkiem nowych dla niej myśli z niesłychanem zajęciem. Ponury pesymizm młodzieńca przenikał do jej duszy, raniąc ją głęboko, ale zarazem napawając ją pewnym urokiem rzeczy nieznanych, powabem nowości. Nie mogła, nie umiała nic znaleźć w swej główce, czemby zdołała odeprzeć lub osłabić zdanie młodego Zaremby. Wydawały się jej one logicznemi i prawdziwemi, a choć były smutne, bardzo smutne, niestety, były one jednak wynikiem istotnego stanu rzeczy.

— Więc cóż robić wobec tego wszystkiego? — zapytała.

— Żyć i używać życia dopóki można, wypić jego rozkosze do dna, nawet z mętami, a potem..... potem zapaść w nicość nieskończoności.

Julek tak był zajęty swą nową znajomością, której czarne oczy paliły go nawskróś, której namiętne usta zdawały się zapraszać do pocałunków, że nawet nie spojrzał na swą złotowłosą bratowę, do której niedawno wzdychał. I podczas gdy przy wielkim stole kumoszki oglądały się wzajemnie i krytykowały, tutaj w cieniach tej surowej i zimnej sali, do duszy młodej dziewczyny, ale pragnącej użycia, którego rozkoszy nie znając jeszcze, przeczuwała jednak doskonale, wsączał się powoli jad strasznego, szarego pesymizmu i pogardy dla wszystkiego co stworzone.

VII.

Szybko zmieniało się życie w domu starego Millera. Było tu teraz weselej, pulsa jakoś żwawiej tętniły z przybyciem tej młodej dziewczyny, która zdawało się, wypędziła wszystkie atomy smutku z domu. Teraz prawie co drugi dzień zaglądał tu Julek Zaremba i Mina też często w domu jego brata bywała. Rozmawiali zawsze o źle stworzonym świecie, o gorzej urządzonej ludzkości i przejmowali się pesymizmem wieku na wskróś. On już całkiem zapomniał o swej bratowej, a myślał tylko o tej dziewczynie ognistej, patrzącej weń swemi wielkiemi, czarnemi oczyma, chwytającej jego słowa jak coś nowego dla siebie i mającego w sobie cały urok rzeczy nieznanych a tajemniczych.

Podobała się ona zresztą wszystkim w domu Zarembów, zyskała nawet serce panny Karoliny. Ta ostatnia zwała ją „przylepeczką.“ Była też nią do pewnego stopnia. Ze zręcznością dziecka wychowanego w ubóstwie i zależnego od ludzi, umiała ona wyszukiwać słabe strony tych ludzi i grać na nich jak na skrzypcach.

Millera zupełnie opanowała. Począwszy od pantofli, które przynosiła mu, gdy przyszedł ze sklepu do domu, i od cygara, które mu sama obcinała i podawała, trzymając w drugiej rączce gotową zapałkę, a skończywszy na porządkowaniu jego pokoju, na mnóstwie zresztą drobnych usług, które uprzyjemniają pobyt w domu, a do których Miller przez swoją surową siostrę nie był przyzwyczajony; wszystko to robiła z uśmiechem, wesołością, swobodą i postawą, która zdawała się mówić: nie uwierzysz, jaką mi to przyjemność sprawia.

Miller niekiedy wieczorami wychodził do swych znajomych na partję pikiety lub szachów, ale częściej siedział w domu, w swym pokoju, zajęty studjami

nad wynikiem mięszania się ras ludzkich. Miał on zawsze pewien pociąg do nauki i przedmiot ten żywo go zajmował. Po bracie, który był lekarzem w wojsku pruskiem i umarł w młodości na tyfus, pozostała mu ładna biblioteka lekarska, którą Miller w razie potrzeby dokompletowywał. Biblioteka ta stała w szafach otwartych w jego pokoju i najczęściej spędzał on tam wieczory w pantoflach i szlafroku, zajęty czytaniem lub pisaniem.

Pokój ten był podłużny i znajdował się nad kantorem przy sklepie. Jedno jego okno wychodziło na plac Staromiejski i źle oświetlało tę komnatę, obitą ciemnym papierem, zastawioną szafami. Mina porządkując go, wprowadzając pod okno trochę kwiatów i zieleni, spostrzegła, że na książkach leżą grube warstwy kurzu, nietkniętego od dawna, gdyż Miller siostrze, nielubiącej książek, bo rozmnażają one w domu myszy i mole, nie pozwalał dotykać się biblioteki. Zwłaszcza górne półki, do których widocznie właściciel rzadziej zaglądał, pokryte były grubą warstwą kilkuletniego może pyłu.

Nie mówiąc nic Millerowi, zajęła się Mina porządkowaniem biblioteki, starając się każdy tom po oczyszczeniu wstawić w to samo miejsce gdzie był przedtem. Zajmowała ją ta robota. Zaglądała do wnętrza każdej książki, czytała tytuły i czasem zainteresowana, przerzucała kilka kartek. Były to przeważnie dzieła lekarskie, dawniejsze: smutna spuścizna po wcześnie zmarłym lekarzu. Nie przedstawiały więc one w gruncie rzeczy nic zajmującego dla młodej dziewczyny. Kilka romansów, które znalazła, dawniej już czytała. Biblioteka więc nie mogła jej bardzo zająć, czego ona szczerze pragnęła, gdyż Joanna nie dawała jej nic do roboty, jak gdyby chciała tem wskazać dziewczynie, że jest w tym domu niepotrzebną, że darmo chleb cudzy zjada.

Mina więc nudziła się po trochu w tym domu dużym, pustym i ponurym. Niekiedy całemi godzinami siedziała w swym pokoiku zapatrzona w brzydkie plamy na murze, który się wznosił wprost jej okna, lub na skrawek owego błękitu, który widniał u góry, zamyślona nad zdaniami, pełnemi grobowych widm, młodego Julka Zaremby. Częściej jednak myślała o nim samym, ale ze spokojem dziewczyny, którą życie nauczyło wiele i kazało milczeć sercu.

Oczyszczenie więc biblioteki Millera było jednem z zajęć, do którego wzięła się z musu, z nudów, w braku czego innego, połykając pył starych papierzysków, brudząc swe maleńkie, białe ręce. Ale pewnego razu, w brzydki dzień zimowy, pokrywający pół pokoju Millera posępnemi cieniami, uderzający w szyby płatami miękkiego śniegu, znalazła u samej góry półek zasunięte w kąt i okryte grubą warstwą kurzu dwie książki, które gdy otworzyła i przerzuciła w nich parę kartek, okryły jej twarz, szyję i nagie po łokcie ręce purpurą krwi... Z krzesła, na którem stała, obejrzała się trwożliwie po całym pokoju, zawahała się przez chwilę, zamknęła książki i chciała je ustawić na swoje miejsce.... ale zmieniła zamiar, zeskoczyła z krzesełka, obmyła ręce i usiadła przy stole, kładąc przed sobą owe książki.

Pierwszą z nich był romans francuski z końca przeszłego wieku p. t. „Przygody kawalera Faublas“, w przepysznem wydaniu ze stalorytami, przedstawiającemi w sposób jasny i wyraźny najdrażliwsze awantury owego kawalera. Druga była książka niemiecka, lekarska, której treść stanowił opis najtajniejszego aktu życia ludzkiego, aktu sądzonego tutaj ze stanowiska lekarskiego i społecznego. Do książki dołączonych było wiele rycin anatomicznych.

Zrazu przeglądała je z drżeniem, z palącym rumieńcem wstydu na swej twarzy, z obawą, by ją kto nie zeszedł. Oglądała się co chwila z trwogą i najmniejszy szelest przestraszał ją, głośniejsza rozmowa na ulicy zmuszała ją do zamknięcia książki. Po niejakim czasie, z wyrazem obrzydzenia na twarzy, zamknęła książkę i skoczyła na krzesło, chcąc dzieła włożyć na swoje miejsce, ale chęć zbadania tajemnic złego i dobrego, ciekawość kobieca wzięła górę, zeszła powoli na ziemię, siadła i znów czytała. Nie ruszyła się z miejsca, dopóki stary zegar w pokoju Millera nie wyjęczał i nie wyskrzypiał dwunastej, to jest godziny, w której kupiec przychodził na górę na obiad. Podniosła się, przetarła ręką czoło i twarz, która ją paliła, do której krew falami przypływała, książki złożyła i pobiegła z niemi do swego pokoju, aby je tam ukryć. Głowa mocno ją bolała i w umyśle jej powstał straszliwy zamęt, chaos pomięszanych pojęć i wyobrażeń. Olśniewało ją olbrzymie pole nowych widoków, zmysły zadraśnięte niemi, krew dotąd zimno płynąca po swych arterjach wobec ubóstwa i troski o jutro, teraz dobrze odżywiona, budziła się i wrzała lawą. Tajemnice dotąd odczuwane tylko, tajemnice bytu znane powierzchownie, odkrywały się przed nią z tych dwóch książek w całej swej nagości, w całej swej naturalnej prostocie i brzydocie. Przypominała sobie zdania Julka Zaremby i poczęła teraz dopiero pojmować całą ich doniosłość. Zrozumiała co znaczy: używać! I wobec drugiej strony jego pesymizmu, wróżącego nicość tam, po za grobem, mówiła sobie, że jeżeli tak jest istotnie, to Julek ma rację, mówiąc, że życia należy użyć, bo jest krótkie i jedyne. Jeżeli tu się wszystko kończy! A dla czegożby nie miało się kończyć? Wszak teraz przekonała się, że na tym świecie nie odbywają się wcale pojedyncze i ciągłe akta stworzenia za wpływem kogoś stojącego po za światem, że natura obchodzi się doskonale bez tego kogoś, że jego interwencja jest niepotrzebną, że zatem i śmierć jest tylko aktem naturalnym, prostą zmianą formy, niczem więcej...

— Ach! — mówiła sobie, ściskając pulsa szalenie bijące jej w skroniach — jak to wszystko dzi-

wnie, jak rozumnie jest urządzone. Nieprawdę głosi Julek, że świat jest głupio stworzony, przeciwnie, ja widzę tu wielki, niepojęty, niedościgniony rozum.

Umysł jej z natury bystry, wyćwiczony przez ubóstwo, pracował usilnie, głęboko, chcąc jakiś porządek zaprowadzić w chaosie nowych pojęć, jakie tam wniosły dwie przypadkiem znalezione książki. Studjowała je teraz namiętnie, z wzrastającą ciekawością i żądzą zbadania wszystkiego do dna. Przeglądała ryciny anatomiczne, wszystkie szczegóły i zastanawiała się głęboko nad tajemnicami płci. Nieraz całe noce przepędzała nad temi książkami. Szukając teraz lepiej w bibliotece, znalazła inne książki lekarskie, mówiące o tym przedmiocie, wzięła sobie anatomję, a choć nie wszystko w niej rozumiała, choć musiała się borykać z technicznemi wyrażeniami, będącemi dla niej nowością, przecież domyślała się wiele, odgadywała jeszcze więcej. Młoda krew, podniecana w ten sposób w niej ciągle, gorąca z natury, wrzała i kipiała. Zmysły uspione przez ubóstwo, przez nieświadomość, przez myśl o chlebie, zbudziły się teraz silne, szalone, namiętne.

Julek przychodząc do niej, zastawał ją rozgorączkowaną, dziwnie śmiałe wygłaszającą zdania, prawiącą o wszystkiem ze spokojem, bez rumieńca, z zuchwalstwem niewinności niepojmującej, nie widzącej nic zdrożnego w tem co mówi. Zastanawiało go to i czyniło śmiałym w obejściu z nią. Jej piękność rosnąca z każdym dniem, jej kształty dotąd szczupłe, chude, w skutek spokoju i dobrego odżywiania zaokrąglały się, wypełniały, budziły w nim żądzę gwałtowną.

Ciągłe sam na sam w tych cichych, pustych, mrocznych pokojach, gdyż Joanna bardzo rzadko się pokazywała, zostawiając Minie zupełną swobodę działania, dodawała ognia i uroku temu stosunkowi. Mówili ze sobą wiele, śmiali się, żartowali, a gdy raz Julek rozgorączkowany uchwycił ją za białe ręce i począł je okrywać gorącemi pocałunkami, zarumieniła się jak wiśnia, wyrwała ręce, otworzyła szeroko swe duże, czarne oczy i przerażona tym stosunkiem, który się jej dotąd wydawał tak prostym i naturalnym, uciekła do siebie i więcej się tego dnia nie pokazała młodemu Zarembie.

Raz znów, w parę dni po owej ucieczce, przyszedł Zaremba rano i szukając Miny po całym domu, znalazł ją w bibliotece, zajętą oczyszczaniem ostatnich już półek. Stała na krześle w krótkiej spódniczce, ukazując maleńkie nóżki w różowych pończochach i pantofelkach z aksamitu czarnego z purpurowemi kokardami. Ręce miała obnażone po łokcie, ręce już teraz nie chude, ale pełne rozkosznej okrągłości, białe, twarde jak marmur. Ujrzawszy Zarembę, zarumieniła się jak róża i rzekła:

— Po co pan tu przyszedłeś? proszę sobie iść! jestem nieubrana, jak widzisz.

Mówiąc to, gwałtownie ściągała rękawy sukienki.

— Ślicznie pani dziś wygląda. Ach! po co pani zakrywa swe rączki.

Nic nie odrzekła, ale z pospiechu upuściła książkę, która potoczyła się pod stół. Skoczyła po nią, skoczył i Zaremba: nie chciała, by zobaczył co to za książka, gdyż było to studjum o chorobach kobiecych, które chciała wziąć do przeczytania. Już teraz powoli ogarniał ją tajemniczy wstyd przed tym młodym człowiekiem, w którym widziała jak burzą się żądze.

Skok był tak nieszczęśliwy, że zaplątała sobie nogę w dywan leżący pod stołem i upadła na wznak, a na nią upadł Julek. Zerwali się żwawo i odsunęli od siebie. Ona oblana cała purpurą krwi, on ciężko oddychając. Mina nie wiedziała co ze sobą zrobić, chciałaby się ukryć gdzieś głęboko, uciec przed temi niebieskiemi oczami młodzieńca, które paliły się ogniem żądzy, gniewała się na siebie i na niego.

— Czego pan tu chcesz? po co pan tu przyszedłeś? — zawołała nakoniec z uniesieniem swojej ognistej natury — proszę się usunąć, bo chcę wyjść.

Zastąpił jej drogę i dysząc namiętnie, głosem przerywanym, przytłumionym mówił:

— Po co przyszedłem? Pani chcesz wiedzieć? Ja panią kocham nad życie!...

Zarumieniła się na całej twarzy i szyi. Nic nie mówiąc i zakrywając oczy, uciekła. (C. d. n.)

Kwiat szczęścia.

(Ciąg dalszy.)

— Jesteś pan zapewne synem tego... tego pana Eberhardta? — wypowiedziała Andzia gniewnie, mierząc oczyma skulonego ze strachu Gilberta.

— Nie łaskawa pani! jestem jego asystentem! — wyjąknął Gilbert, strojąc komiczną minę, która rozbroiła po części zirytowaną pannę Rehfeld.

— Tem lepiej dla pana! — bo być synem takiego potwora jak ten pan... tam!...

Gilbert oniemiał z przerażenia i oglądnął się trwożliwie do około, czy nikt oprócz niego nie słyszał epitetu jakim uczęstowało rozgniewane dziewcze wszechwładnego pana profesora.

Niewolnicza uległość do której przywykł wobec swego pryncypała nakazała mu nawet w tym wypadku, chociażby biernie zaprotestować przeciw śmiało wypowiedzianej niepochlebnej o nim opinji.

— Ależ pani dobrodziejko! pan doktor Eberhardt jest świecznikiem pomiędzy lekarzami...

— W takim razie nie zazdroszczę stanowi lekarskiemu takiej powagi. Pański doktor podobny do niedźwiedzia, któryby najchętniej pożarł z kościami

każdego zgłaszającego się o poradę... Nie wiele brakowało, że mnie nie połknął, tylko Henryk mu przeszkodził. Podobnego przyjęcia nie doznałam w życiu! To szkaradnie! — wyrzucało dziewczę prawie jednym tchem i rozpłakało się na dobre z gniewu i oburzenia.

Gilbert znał dobrze sposób obchodzenia się swego pryncypała, nigdy jednak dotąd nie zastanawiał się nad tem, tem mniej odważyłby się był poddać krytyce zwyczaje i obyczaje wszechpotężnego profesora, ale na widok łez spływających po ślicznej twarzyczce panny Rehfeld oburzył się do żywego i pierwszy raz w życiu ośmielił się stanąć przeciw niemu.

— Tak! to haniebnie! — wyrzekł z zapałem.

Andzia spojrzała z uwagą na młodego asystenta i z po za łez wydobył się łagodny wyraz podzięki za współczucie, które dostrzegła na twarzy Gilberta.

— Jesteś pan także lekarzem?

— Doktor Gilbert do usług — odpowiedział zagadnięty.

— Mam zaufanie do pana panie doktorze...

Gilbert skłonił się na tak pochlebne wyznanie, ale nie bez pewnego przerażenia usłyszał, że Andzia żądała od niego podjęcia się kuracji przybranej swej matki.

— Miej pani na względzie, że dotychczas zbywa mi na praktyce, nie odważyłbym się więc...

— To nic nie szkodzi! Jestem pewną, że pan nierównie więcej umie od tamtego potwora! Czy zabawisz pan tu przez całe lato?

Gilbert potwierdził zapytanie i nie wiedział nawet jakim sposobem zawiązała się dalsza rozmowa podtrzymywana przez Andzię z zajęciem. Odpowiadał na zapytania rumieniąc się, odważył się nareszcie poruszyć jakiś ogólny temat i brnął dalej nie zdając sobie sprawy dokąd go to zawiedzie.

Henryk tymczasem został w jaskini dzika z zamiarem ugłaskania niedostępnego odludka — praca ta nie była łatwą.

Usłyszawszy zamiar z jakim do niego przybyła młoda para, powtórzył scenę z papą Kroneg, bez względu na łzy i prośby miluchnej dzieweczki, która z całą nadzieją udała się do niego i szukała w jego wiedzy ratunku dla ukochanej mateczki. Stary dziwak popuścił zupełnie wodze swej dzikiej fantazji i obrzucił grubiańskiemi wyrazami obydwoje. Henryk widząc na co się zanosi wyprowadził zmięszaną takiem przyjęciem narzeczoną z salonu i polecił jej oczekiwać go w powozie, sam zaś powrócił do doktora i zamknąwszy drzwi za sobą usiadł najspokojniej naprzeciw zdziwionego Eberhardta.

— Jesteśmy teraz sami, pomówmy więc rozsądnie — zagadnął z zimną krwią, w którą się uzbroił.

— Czego pan tu chcesz? — zamruczał doktor gniewnie, spostrzegłszy, że nawet skrajne grubiaństwa nie przepłoszyły upartego młodzieńca.

— Mówiłem panu co mnie tutaj sprowadza. Wyprowadziłem tę młodą damę, żeby jej nie narażać na pańskie wyszukane impertynencje — co do mnie wytrzymam nawet podwojoną dawkę, bo znam pana z opowiadania. Wiem, że jesteś dziwakiem oryginalnym w swoim rodzaju a studjowanie wszystkiego niezwykłego sprawia mi pewną przyjemność.

— Cóż do kroćset djabłów! myślisz sobie, że jestem tu dla pańskiej zabawki? — krzyknął doktor zerwawszy się z krzesła. — Kto pan jesteś? zapewne braciszek tej panny Anny Rehfeld?

— Jej kuzyn. Nazywam się Henryk Kroneg... niepotrzebnie się pan rzucasz na wzmiankę mego nazwiska. Ojciec mój doświadczył na sobie onegdaj pańskiego uprzejmego obchodzenia się z ludźmi, otóż postanowiłem sobie przyjść tutaj w jego zastępstwie — odpowiedział Henryk spokojnie, patrząc badawczo w twarz doktora.

— Gdybym był wiedział...

— Że się nazywam Kroneg, byłbyś mnie pan nie przypuścił do siebie! — dokończył Henryk.

— Możesz pan być pewny, że nie inaczej! Jesteś zatem synem tego próżnego radcy z orderami, który myślał, że po nad niego niema już ludzi na ziemi? Dziwne! czy ojciec panu opowiedział jak go przyjąłem?

— Z najdrobniejszemi szczegółami, i to głównie pobudziło moją ciekawość poznać pana osobiście — odpowiedział Henryk na pół drwiąco.

Teraz Eberhardt oniemiał z zadziwienia. Wiedział, że ludzie boją się go z powodu tej szorstkości i grubiaństw, któremi ich obrzucał i ustalona pod tym względem opinja napełniała go rodzajem oryginalnej dumy, a tu nagle zjawia się człowiek, który dlatego właśnie wchodzi mu w drogę i nie tai wcale zamiaru, że to jedyny powód zbliżenia się do niego. Henryk zaimponował mu swem otwartem wyznaniem i może pierwszy raz uczuł się Eberhardt bezbronnym, a zdziwienie jego stopniowało się w miarę dalszego przebiegu rozmowy, rozpoczętej w tak dziwny sposób.

— Rzecz godna podziwu, że pan żyjesz w takiem odosobnieniu. W stolicy stugębna fama rozniosła pańską sławę, głosząc cudowną prawie kurację księcia — prawda, że mówią o pańskiej manji niepoprawnej mizantropji i ruszają ramionami na dziwactwa.

— Tak mówią? to mnie cieszy! pozdrów pan wszystkich odemnie jak wrócisz do stolicy... Wreszcie nikomu nic do tego co i jak robię! — odrzekł doktor, ale mniej gwałtownie jak przedtem.

— Za pozwoleniem! Cierpiąca ludzkość jest w prawie zapytać pana na co użyłeś wyjątkowej wiedzy i co robisz z skarbami, które zaczerpnąłeś z dziedziny umiejętności! — zauważył Henryk.

— Jakie prawo? Niech mi ludzkość do spokój i nie troszczy się moją osobą tak jak ja o nią nie pytam.

Dawniej obchodziła pana, dlaczegóż wymówiłeś jej teraz swoje usługi?

Pytanie to zakrawało na indagację i nikt nie poważył się dotychczas przemawiać w ten sposób do doktora. — Oniemiał na zuchwalstwo młodego człowieka, który otrząsł się nawet z zwykłych form towarzyskich i przemawiał do niego w sposób, w jaki on zwykle traktował drugich, uważając to za swój wyłączny przywilej.

— Dlaczego odwróciłem się od ludzi? Dobrze! odpowiem panu. Uprzykrzyło mi się słuchać o sentymentalno-urojonych cierpieniach i używać mojej wiedzy na podtrzymanie nędzoty jaką jest istnienie człowieka. Każda żyjąca kreatura sądzi, że jest tym punktem środkowym, około którego obraca się cały przestwór świata i że dla utrzymania jej przy życiu należy poruszyć ziemię i niebo, a tymczasem życie ludzkie nie warte szczypty tabaki. Czem prędzej weźmie go licho tem lepiej i korzystniej dla świata. Ludzie nie zasługują żeby dla podtrzymania ich żywota kiwnąć tym oto małym palcem. Wszyscy mają na języku: poświęcenie, miłość bliźniego i mnóstwo różnych ideałów a w gruncie są egoistami, kłamią, oszukują się wzajemnie i z gardła sobie wyrywają kęs chleba; jeden zazdrości drugiemu tego powietrza, którem oddycha.

— Ależ doktorze! — zauważył Henryk, lecz Eberhardt przerwał mu gwałtownie i ciągnął dalej.

— Wiem, że podobnie innym młodym szaleńcom nabiłeś pan sobie głowę mnóstwem tak zwanych wyższych pojęć i zdaje się wam że te ideały leżą rozrzucone... na ziemi. Wyglądasz mi pan na takiego maniaka, ale gdy kilkanaście razy zawiedziesz się na bliźnich, jak cię najserdeczniejsi przyjaciele porządnie naciągną a potem wyśmieją i wydrwią, dojdziesz do tych samych przekonań, przeciw którym dzisiaj powstajesz. Nie okłamuję ciebie i drugich pięknymi frazesami i mówię otwarcie, że nie dbam o ludzi i nic mnie nie obchodzi ich nędza i nieszczęście. Czynię co mi się podoba, a kto mi wejdzie w drogę spycham go na bok, to jedyna rozsądna zasada w życiu. — Znasz pan teraz moje zasady a zatem do widzenia! —

Doktor wylał całą żółć, jaka mu się zebrała w długich samotnie przepędzonych miesiącach. — Mówił z zapałem i przytem tak groźnie spoglądał na Henryka, jak gdyby go chciał spalić oczyma, ale Henryk spokojnie potakiwał pesymistycznym wywodom doktora i gdy ten skończył odezwał się:

— Przyznaję że wiele słuszności w pańskich twierdzeniach, bo sam się przekonałem niestety, że życie człowieka nie wiele warte, a ludzie to nieużyteczna gromada egoistów. — Zgadzam się z panem zupełnie.

— W pańskim wieku to trochę zawcześnie! — zamruczał doktor, którego to gniewało, że Henryk zamiast mu oponować potakuje.

— Nigdy człowiek nie poczyna zawcześnie uczyć się praktycznych zasad życia — odpowiedział Henryk. — I zbliżamy się właśnie do punktu, na który obydwa zgodnie się zapatrujemy... Po tem co mi pan wynurzyłeś nie potrzebuję się obawiać, że zachowasz w tajemnicy co mu mam powierzyć.

— Tajemnica? mniejsza z tem! wyjeżdżaj pan!

— Nie obawiaj się pan, że go zatrudnię urojonem jakiem cierpieniem, chodzi tu wprawdzie o cierpienie, ale stoją w związku interesa bardzo realnej natury. Młoda osoba, z którą tutaj przybyłem, to moja narzeczona. Jest ona jedyną spadkobierczynią znacznego majątku, znajdującego się obecnie w ręku macochy, która jest cierpiącą, a słabość jest tego rodzaju, że katastrofa może nastąpić najniespodziańiej.

— Co by pana niezmiernie zmartwiło! — zaśmiał się doktor szyderczo.

— Nie inaczej! ale trudno się sprzeciwić wyrokom opatrzności! Pani Rehfeld znajduje się w kwiecie młodości, lekarze jednak twierdzą, że stan jej zdrowia jest bez nadziei i że trudno, żeby dożyła przyszłej wiosny... Nie wątpię, że i pan nie będziesz odmiennego zdania?

— Jestem zawsze innego zdania od moich wielce szanownych kolegów — przerwał doktor zerwawszy się gwałtownie z krzesła. — Tym panom się zdaje, że wzięli w wieczną dzierżawę nieomylność i oznaczają chwilę śmierci na minutę, tym czasem chory płata im figla i żyje jeszcze trzydzieści lat. Wyśmienite! nie prawdaż?.

— Bez wątpienia! i dlatego właśnie radbym usłyszeć pańskie zdanie o chorej. Pojmujesz pan ile mi na tem zależy...

— Żeby co prędzej pochwycić spuściznę! — podchwycił doktor z gryzącym cynizmem.

— Nie chciej pan zapoznawać moich intencyj... — protestował Henryk, powstawszy także. — Ubolewam nad stanem zdrowia mojej teściowej, lecz jeżeli nieszczęście ma nastąpić koniecznie... a jak już powiedziałem stoi ono w związku z sprawami bardzo doniosłemi pod względem finansowym, radbym mieć pewność... profesor Mertens... zdaje mi się, że toczyliście panowie zawziętą walkę piórową pomiędzy sobą... otóż Mertens, który uchodzi za pierwszorzędną powagę w swoim zawodzie, oświadczył, że sztuka lekarska jest bezsilną w danym wypadku.

Eberhardt, który nie poznał się na misternym fortelu, który Henryk dobrze obliczył, żeby zjednać odludka dla sprawy obchodzącej go żywo, ale w kierunku wręcz przeciwnym, uderzył z całej mocy pięścią w stół i zaperzony jak kogut przebiegł kilka razy po pracowni, zaczerpnał pełną piersią powietrze i sta-

nąwszy tuż przed uradowanym wewnętrznie młodzieńcem, huknął mu nad uchem:

— Proszę? pan Mertens? ta powaga, ten wszechwiedzący półbożek nie ma ratunku? Chciałbym obejrzeć pańską teściowę...

W oczach Henryka zabłysła żywa radość, ale siłą woli powściągnął wszelki jej objaw na zewnątrz i wyrzekł obojętnie:

— Chciałem pana prosić właśnie o to, ale nie wiele sobie rokuję... jeżeli Mertens...

— Idź pan do djabła razem z swoim Mertensem! — wrzasnął Eberhardt. — Jutro jestem u pani Rehfeld!

— Bądź pan przekonany o mojej wdzięczności, ale jeszcze jedno słowo... Mam pańskie przyrzeczenie, że rozmowa nasza zostanie tajemnicą w obec osób trzecich.

— Zostanie, zostanie!.. ale tak pomiędzy nami powiem panu, że jesteś ideałem tegoczesnych zięciów. Po tej drodze zajdziesz daleko! Niech was! — grzmiał doktor mierząc Henryka od stóp do głowy.

— Dziwi to pana? a jednak postępowanie moje nie jest czem innem, jak tylko dalszem następstwem pańskich zapatrywań, głoszonych na początku naszej rozmowy — odpowiedział Henryk spokojnie patrząc bystro w oczy Eberhardtowi.

Doktor nie znalazł na razie słów, żeby odpowiedzieć na podobne wyzwanie, ale dał wyraz żywemu oburzeniu rzucając silnie księgą o stół.

— Ile lat liczysz sobie młody paniczu? — zapytał po chwili.

— Dwadzieścia siedm!

— Nie ma co mówić, djablo prędko nabyłeś praktycznego rozumu... W twoim wieku byłem jeszcze naiwnym chłopaczkiem — osłem kwadratowym pod tym względem. Ale cieszy mnie zobaczyć człowieka w właściwem świetle... winszuję! i jeszcze raz cieszę się niezmiernie, a teraz do widzenia szlachetny młodzianie!

Ledwie Henryk zamknął drzwi za sobą, splunął doktor i drugą książką rzucił z całej siły w kąt pokoju.

— Miły kawaler! — rezonował doktor po odejściu Henryka i przechadzał się po swej pracowni. — Że się nie wstydził tak otwarcie przyznać do nikczemnej roli jaką odgrywa? A zdawało mi się patrząc w szlachetnie zarysowane oblicze, że to może jeden z niewielu, którymbym uwierzył. Ho, ho! mam ja swoją rację! nikomu i nigdy nie uwierzę, żeby mi wyglądał podobny do archanioła. Ale poczekaj mój paniczu! Niech no znajdę iskierkę życia u tej pani Rehfeld, wyleczę ją chociażbym tutaj miał siedzieć cały rok... dwa lata nawet! posiedzę... i pokrzyżuję twoje plany! Poczekasz sobie latami na sukcesję!

Henryk zbiegł tymczasem szybko po schodach i z uśmiechem zadowolenia przebiegał ścieżkę ogrodową pomrukując jakąś wesołą aryjkę. Sztuczka mu się udała i miał słowo Eberhardta, że będzie w willi Rehfeld.

Nie łamał sobie głowy jakich użyje środków, żeby skłonić doktora do dalszego zajęcia się panią Eweliną i zdał to wypadkowi, pewny, że w danej chwili wymyśli coś nowego. — Henryk zdziwił się znalazłszy Andzię w ogrodzie i do tego w towarzystwie młodego eskulapa, któremu doktor Eberhardt wcale nie dwuznacznie dał do poznania, że na czas wizyty panny Rehfeld chciałby go mieć na drugim końcu, jeżeli nie świata, to przynajmniej na drugim końcu wsi.

— Dobrze że jesteś! — zawołała Andzia ujrzawszy narzeczonego. — Dziwię się twojej odwadze, że tak długo mogłeś bawić w jaskini niedźwiedzia.

— Niedźwiedź ułaskawiony! — odpowiedział wesoło — przyrzekł mi na jutro swoją wizytę w willi Rehfeld.

— Jakim sposobem dokazałeś tego cudu?

Gilbert dotychczas niemy wmięszał się do rozmowy, dając wyraz swemu zdziwieniu.

— Pan doktor przyrzekł panu swoją bytność? — zapytał z niedowierzaniem.

— Nie inaczej i jestem pewny, że dotrzyma słowa.

— Pan doktor Gilbert, asystent tego pana Eberhardta — przedstawiła Andzia towarzyszącego jej młodzieńca. — Nie pojmuję tylko jak pan może wytrzymać z tym potworem?

— Przywykłem do mego pryncypała, ale nie mogę mu przebaczyć szorstkiego przyjęcia na jakie naraził panią.

Henryk spojrzał badawczo na młodego lekarza, uderzył go bowiem nacisk z jakim wypowiedział ostatnie wyrazy odnoszące się do Andzi, poczem dodał:

— Spróbujemy wspólnemi siłami ugłaskać pana profesora. Będziesz pan zapewne towarzyszył Eberhardtowi do willi Rehfeld?

— Oczywiście że pan przybędzie! — dodała Andzia stanowczo. — Powiedziałam panu, że mam do niego nieograniczone zaufanie i polecę mamę opiece pana Gilberta. Prawda Henryku, że tak będzie najlepiej?

Henryk powziął również silne zaufanie do młodego eskulapa i uścisnąwszy go serdecznie za rękę rzekł od siebie:

— Oczekujemy pana niecierpliwie — a odwróciwszy się do Andzi dodał: — Teraz czas nam w drogę!

Z temi słowy podał ramię pannie Rehfeld i zaprowadził ją do powozu... Gilbert nie obyty z zwyczajami towarzyskiemi nie pomyślał nawet o tem, że do niego właściwie należało odprowadzić młodą damę i stanął na miejscu jak wryty.

Andzia dziwnie spojrzała na młodego człowieka i z dąsem podała ramię Henrykowi, ale gdy raz jeszcze spoglądnęła z powozu w stronę gdzie Gilbert pozostał i ujrzała go nieruchomo stojącego z oczyma na nią zwróconemi, uśmiechnęła się z zadowoleniem i lekko skinęła główką na znak pożegnania.

Młody Kroneg badawczo spoglądał na całe zachowanie się swej narzeczonej i lekki uśmiech zaigrał na wesołej jego twarzy.

— Miły chłopiec ten młody doktor! — wyrzekł mimochodem gdy powóz ruszył z miejsca.

— Prawda, bardzo miły! — odpowiedziała uradowana Andzia.

— Możecie w nim znaleźć przyjemnego towarzysza po naszym odjeździe. Cieszyłbym się niewymownie zostawiając wam kogoś, ktoby cokolwiek ożywił samotność i próżnię w willi Rehfeld.

— Jakiś ty dobry mój Henryku! — odrzekła Andzia i raz jeszcze wychyliła główkę z powozu.

Henryk wybuchnął szczerym śmiechem, ale zaraz się pomiarkował i powiedział:

— Nie jestem bynajmniej egoistą, zapytaj doktora Eberhardta a ręczę, że potwierdzi ci to samo, chociaż ma poniekąd słuszność, że nawet tam gdzie się poświęcamy dla drugich, czynimy to najczęściej z pobudek osobistych. (C. d. n.)

Potęga prawdy.

(Ciąg dalszy).

Helena Althaus była najsilniej przekonaną, iż mężczyzn dzisiejszych bardziej uderzają i zachwycają ramy, niż sam obraz. Stało się też jej jedynem życia pragnieniem i zadaniem, badać najdziwaczniejsze mody kaprysy i przystrajać najkosztowniej ładną zresztą twarzyczkę i kibić jak utoczoną, choćby te cudactwa wcale nie licowały z jej rysami drobnemi, milutkiemi, jak u aniołków rafaelowskich. Teraz puściła się na wycieczkę, przerzuciła wszystkie znane magazyny modniarek, aż znalazła okropne czupiradło w tym rodzaju, o którym Roman wspominał, wróciwszy z nadreńskiej wycieczki: teraz nie wątpiła, że w tym dopiero kapeluszu serce jego oporne podbije i posiędzie na wieki. Było to coś, niby wieża, z kwiatów bezładnie napiętrzonych, nad czołem przełamana, z pod której wyglądała jej twarzyczka miniaturowa, jakby przygnieciona.

Z minką dumnego tryumfu w tem straszydle, o którem każdy ze smakiem cokolwiek wyrobionym, pomyślałby, iż ubrano w niego za karę winowajczynię, aby ją wystawić na pośmiewisko ulicznej gawiedzi, wyszła z matką do miasta wyszukując li miejsca i przesmyków, któremi Roman był zmuszony przechodzić o tej porze. W tym gmachu mieściło się jego biuro, tam dalej klub do którego należy i hotel w którym się stołuje.

Pewnego dnia spostrzegła nawet tuż przed sobą męzką postać wyniosłą, która niesłychanie przypominała barona Gehren. Ale nie, omyliła się widocznie. Człowiek jak on poważny i nawskroś salonowiec, nie mógłby przecież pomykać takim szalonym galopem, roztrącając w prawo i w lewo przechodniów. Robił ten ktoś kroki iście siedmiomilowe, jak w owej bajce, o której słyszała w latach dziecięcych.

Pocieszała się, że co się odwlecze, przez to jej nie uciecze.

W rzeczy samej, wkrótce zetknęła się z baronem na rogu ulicy. Zanim jednak zdołała go zaczepić i przytrzymać, wskoczył do wozu tramwajowego... zadzwoniono... i Roman uciekł. Jak też mógł jej nie zauważyć? Dawniej miał wzrok tak bystry, a teraz na dwa kroki od siebie nikogo nie rozpoznaje!

Pani Althaus była podejrzliwą i coś niedobrego czuła w powietrzu. Odpowiedź Romana po owej herbatce familijnej dała jej wiele do myślenia. Cóż zyskała na gonitwie, na istnej obławie, urządzonej wespół z Heleną, aby dopaść Romana? Oto kilkanaście talarów za kapelusz ostatniej mody i rachunek olbrzymi z cukierni za ciasta i czekoladę, którą codziennie spijały, aby z tego punktu obejmować wzrokiem cały plac, na który wychodziły bramy gmachu sądowego, klubu i sali, gdzie Roman zwykł był jadać obiad.

Niejedną noc matka bezsennie przepędziła, zachodząc w głowę, co dalej czynić, jak łapać zmykającego, niby lis chartami poszczuty, kawalera? Gdy raz dodnia, w półświetle otworzyła na chybił trafił książkę do modlenia i tam uderzył ją ten frazes: „Wstając i legając, mówię i myślę o tobie“ — powzięła natychmiast zamiar nieodwołalny.

Musi wykonać *coup d'état*, czem zmusi Romana do solennych oświadczyn i dopnie celu upragnionego.

O wiele wcześniej, niż to było u niej w zwyczaju, czekała już na męża w jadalnym pokoju, podczas gdy Helena ćwiczyła się w salonie, mordując jakieś najnowsze walce strausowskie.

Wśród tych dźwięków hałaśliwych i nie grzeszących zbytnią czystością tonu, wszedł radca na ranne śniadanie. Najprzód schwycił się za głowę, następnie wzrokiem zamglonym, bez życia, spojrzał na żonę, z lekkim odcieniem zdziwienia. O tej godzinie nigdy jej nie widywał.

— Chciałabym z tobą pomówić — tłomaczyła swą obecność radczyni.

— Wyjątkowo mamy jedno i to samo życzenie — odrzucił, a po bladych ustach przemknął uśmiech gorzki i pełen ironji. — I ja potrzebuję rozmówić się z tobą stanowczo.

Znużony upadł na najbliższe krzesło, zgięty w pół, jakby go przytłaczał ciężar nad siły.

— Idzie mi o przyszłość całą naszej Heli — cedziła radczyni zwolna. — Jej stosunek z baronem Gehren musimy uregulować. Trochę ostygł w zapałach po powrocie z wód nadreńskich. Zdaje się również przypuszczać, że nie moglibyśmy jej stosownie wyposażyć. Trzeba mu zaimponować i przekonać, że żyjemy w dostatkach i stać nas na wszystko.

Radca wzruszył miłosiernie ramionami.

— Popełniasz błąd — rzekł tonem ostrym — wspólnie z wielu osobami, sprytnemi nawet i przebiegłemi. Masz innych za głupców, których lada czem można olśnić i puścić im pod nos tumana. Sama potrafisz otaksować majątek twoich znajomych prawie na fenigi, a łudzisz się nadzieją, że tak mądrego ptaszka jak Gehren złapiesz na plewę.

Wyprostowała się dumnie i odrzuciła lekceważąco:

— Przywykłam od dawna, że cokolwiek zaproponuję, przyjmujesz z niedowierzaniem i krytykujesz z gryzącym, dotkliwym sarkazmem. Jak dotąd atoli tak i na przyszłość w niczem zdania nie zmienię. Najprzód zaś śmiem prosić o głos i wolność wypowiedzenia, o czem myślę i z czem tu przychodzę. Trzeba koniecznie i z Maksem coś postanowić. Wiem na pewno, że dotąd utrzymuje stosunki z tą jejmościanką zręczną i przebiegłą, z Walterówną. Nie troszczyłabym się zresztą przedmiejską miłostką, z jakąś tam szwaczką, gdyby mnie nie trwożyła miękkość w usposobieniu Maksa, brak wszelkiej energji w charakterze i niepoprawne marzycielstwo. Musimy zatem obejrzeć się za stosowną partją dla niego. Najlepiej będzie dać świetny bal, gromadząc w naszym salonie całe towarzystwo, które popowracało z wód lub dóbr własnych.

Mąż potrząsł głową.

— Powinniśmy wręcz przeciwnie ograniczyć się ile możności, zaprowadzając gdzie się da oszczędności.

Radczyni szorstko zapytała:

— Ciekawam w czem i dla czego?

— Najprzód w służbie — odpowiedział. — Tyle sług nie spotkasz u żadnego z urzędników.

— I kogoż chciałbyś oddalić? — zmarszczyła gniewnie czoło. — Może kucharkę? Nie mogę przecież psuć sobie rąk i twarzy nad ogniem! Być przez pół dziewką, a przez pół damą salonową. Lokaja? Mam więc na przyszłość sama gościom drzwi otwierać i sama ich sobie zapowiadać? Pokojówkę? Już i tak upadam pod ciężarem nawału obowiązków: przed południem wizyty odbierać lub oddawać; co wieczór iść gdzieś lub gości u siebie podejmować; w dodatku być damą w kilku towarzystwach dobroczynności! Gdzież chwilka czasu, aby dla mnie i dla Heli obmyślać i przygotowywać toalety?

Machnął niecierpliwie ręką:

— Wszak bierzesz wszystko gotowe z magazynów mód! Świadczą o tem rachunki przerażające!

— Trudna rada! — głos jej drżał oburzeniem. — Dziś wcale inne wymagania. Minęły bezpowrotnie owe czasy patrjarchalne, kiedy panience wystarczała skromna, biała sukienka, młode zaś mężatki brały w sukcesji po prababuniach robrony adamaszkowe. Niech się która pokaże trzy razy w jednej toalecie, zaraz panowie szepczą z uśmiechem złośliwym: „No! ta pewnie w tej sukni na świat przyszła!“ Młodzież dzisiejsza najwięcej na strój uważa. Obeznani z modą i wszelkiemi tejże finezjami, jakby sami byli krawcami, lub pannami u modniarek! Czyż na balach nie odznaczają i nie otaczają takie tylko danserki, których strój odznacza się bogactwem i najwyższą elegancją?

— Przyznaję, iż chcąc zbyć towar, wypada takowy przedstawić w świetle najkorzystniejszem — wtrącił złośliwie — skoro jednak tak ci na sercu wydanie zamąż Heleny, powinnabyś właśnie oszczędzać dla niej na posag, a choćby na wyprawkę. Po co takie zbytki, jak sprawianie nowych serwisów porcelanowych do herbaty i czarnej kawy? Na co srebro deserowe i małe łyżeczki wyzłacane?

— Serwis dawny był już strasznie wytłuczony i... nie modny. Do nowych zaś muszelek, malutkich jak łupinka z orzecha, nie można przecież było użyć naszych łyżeczek wielkich i niezgrabnych, jak łopaty.

— Uniknęłoby się tych wszystkich wydatków niepotrzebnych, gdybyśmy się trochę usunęli z towarzystwa i tyle osób u siebie nie przyjmowali! — rzekł z naciskiem.

— Tylko przestań gderać i moralizować, proszę usilnie! — Twarz jej poczerwieniała ze złości dotąd tłumionej po części. — Musimy uczęszczać i bywać wszędzie, a więc i u siebie przyjmować.... winniśmy ponosić tę ofiarę dla naszych dzieci.

— Aureljo! — upominał tonem czułym i łagodnym. — Właśnie powinność święta wobec dzieci nakazuje nam oszczędzać się i poskramiać w wydatkach. Od dawna nad stan żyjemy. Zjadamy nietylko dochody, ale i niewielki, na złą godzinę odłożony kapitalik.

— Czyż ja mam być temu winną? — wybuchła nareszcie z całą gwałtowną bezwzględnością. — Dość smutno, żeś się nie umiał postarać o stosowne dla mnie utrzymanie.

Na jego policzki trupio blade i jakby nabrzękłe, wystąpiły dwie krwawe plamy:

— Jakżeś mi jednak była rada i nieledwie po rękach całowała, gdym ci się oświadczył po śmierci twojego ojca pułkownika, kiedy matce nic nie pozostało, prócz lichej wdowiej pensyjki, a brat, pan gwardzista, narobiwszy długów, nie widział innego wyj-

ścia, jak wpakować sobie w pustą mózgownicę trochę ołowiu.

— Co za brutalne okrucieństwo! — podniosła w górę załzawione oczy, łamiąc ręce tragicznie. — Wygrzebywać z popiołów nieszczęścia, które rodzinę twojej żony spotkały, odnawiać rany w sercu mojem, przez czas cokolwiek zabliźnione! Szkoda jednak psuć sobie piersi — wydęła usta pogardliwie. — Uczuć delikatnych nikt nie wleje, jeżeli się z niemi nie zrośliśmy i nie przesiąkli od lat dziecięcych — mówiła dalej tonem lekceważącym — kończmy zatem czem prędzej miłą rozmowę. Skoro na jeden nędzny bal dochody ci nie wystarczają, trzeba sięgnąć do kapitału... Sprzedałeś przecież akcje, wzięte na przedsiębiorstwo cukrownicze?

— Z nader wielką stratą.

Na ostatnie słowa bynajmniej nie zwróciła uwagi:

— Chwała Bogu, że pieniądze są w domu! Będą nam wkrótce potrzebne koniecznie!

— Potrzebne wam będą — skinął smętnie głową — ale na coś ważniejszego, niż głupie bale!

— A więc radź inaczej, skoroś taki mądry! — zerwała się na równe nogi, miotana wściekłym gniewem — kiedy głupstwem nazywasz wszystko, co ja wymyślę! Przecież radzić to twoje *métier!* — dodała ze zjadliwą ironją. — Postaraj się o stosowne wydanie zamąż Heli, o bogatą pannę dla Maksa, aby raz stanął na nogi i przestał siedzieć u nas w kieszeni! A szczególniej, nie rób takich min pogrzebowych, jakbyś był rzeczywiście starcem zgrzybiałym. To woda na młyn młodszych w randze od ciebie. Niejeden gdzieś szepcze pod nosem: „Kaducznie się poddał radca Althaus. Czas wielki, żeby nam się usunął z drogi!“

Stała nad nim pochylona, istna Eumenida! Włosy nieuczesane wymykały się z pod czepka rannego w kosmykach potarganych; na twarzy brwi gniewnie ściągnięte, nos szpiczasty i usta wąskie a drgające, zdawały się trzema ostrzami, godzącemi prosto w piersi męża.

Wśród głuchej ciszy, która teraz między małżonkami zapanowała, odzywały się wesołe tony walca i słowa bezmyślne libretta operetkowego, wygłaszane piskliwym sopranikiem Heleny:

„Tak piękną jak moja Lota,
„Jest chyba nadziemska istota!“

Na jego skroniach zapadłych, nabrzmiały grube żyły. Skrzywił usta, lecz tym razem nie do uśmiechu mu było.

— Może prędzej wam wszystkim zejdę z drogi, niż się spodziewacie! — szepnął jakby do siebie.

Wyszedł z pokoju, a po chwili wrócił, kładąc na stół przed żoną dwa rulony złota.

Oddalił się natychmiast, nie tknąwszy śniadania. Żona jednak tego nie zauważyła: nawet i to jej nie uderzyło, że zatoczył się jak pijany i musiał schwycić się drzwi do sieni prowadzących, aby nie upaść. Dopiero oprzytomniawszy cokolwiek, poszedł dalej.

Ona była już wyłącznie zajętą obmyślaniem balu, który postanowiła wydać. Podczas obiadu szczegóły zabawy dotyczące stanowiły jedyną treść rozmowy. Wydawanie rozkazów rozpoczęła od męża.

— Gotfrydzie! przyszlij mi też na całe poobiedzie twojego pisarza. Podyktuję mu listy zapraszające. Będzie około sto osób. Sama śmietanka!.... ale i o sferze bankierskiej nie zapomniałam, którą polecam waszym względom i uwadze szczególnej..... dowiecie się później dla czego! Wieczór będzie z tańcami, rzecz naturalna... nic tak nie łączy młodzieży płci obojej i bardziej do czułych wyznań nie ośmiela. Inaczej prezydent sądu, gotówby jeszcze staruch nieznośny, sprzątnąć nam z przed nosa głównego gościa i zasadzić do wista Romana... Maksiu, zajmij się drukowanym porządkiem tańców i wszelkiemi przyborami do świetnego kotyljona. Pomyśl i o czem zabawnem, byle nie o czapkach błazeńskich! Tego wiem, że Gehren nie lubi. Ty poprowadzisz kotyljona i to z Astą Löwenstern.

— Gdzie ja się tam do niej docisnę! — machnął ręką Maks — ze wszech stron otoczona...

— Więc i ty ją otaczaj i nadskakuj! — zawołała matka surowo. — Spodziewam się, że jako syn domu, będziesz miał prawo pierwszeństwa przed całą rzeszą oficerków i referendarjuszów. Teraz w modzie karty z menu, tak przy obiedzie jak i przy kolacji, z obrazkami u góry. Mógłbyś kilka takich wymalować dla gości najznakomitszych. Dla Asty naprzykład: jej nowy pałac, wraz z parkiem. Byłaby to miła i szarmancka niespodzianka.

— Cóż znowu! — mruknął syn niechętnie. — Taki gmach wspaniały, jak pałac Löwensternów, na jadłospisie! Możnaby się rozchorować na niestrawność, patrząc tylko na tę imponującą masę kamieni!

Matka na szczęście tego nie dosłyszała. Myślą goniła lody palące się, *a la Nesslerode*, i inne cuda sztuki kucharskiej i cukierniczej.

Przez cały tydzień na chwilę nie odetchnęła, nie spoczęła, pływając w swoim żywiole; z całem namaszczeniem oddając się ciężącym na niej obowiązkom.

Nakoniec wieczorem w wigilję balu mogła sobie pogratulować, iż wszystko wypadnie znakomicie, że godnie odpowiedziała wielkiemu zadaniu. Wiedziała, że bażanty z piórami naturalnemi na ogonku i koronką papierową, tak samo będą dumnie paradowały na stole jadalnym, jak tarcza herbowa baronów Mühlstein nad drzwiami jej buduaru.

Wyszła trochę na werandę, aby zaczerpnąć świeżego powietrza po tylu trudach.

Helena stanęła na progu salonu w balowej toalecie, którą przymierzała. Kolor atłasu był najmo-

dniejszy *cendre de rose*. Zrobiła przed matką lekką piruetę.

Pani Aurelja obejrzała córkę bystro od stóp do głowy.

— Jesteś zachwycającą! *irrésistible!* — wykrzyknęła z dumą.

— Szkoda tylko, że suknia nie ubrana piórami! — skręciła noskiem Hela — o wiele modniejsze i od kwiatów mniej pospolite.

— Na pióra jeszcześ za młoda — wtrąciła sentymentalnie matka. — Poczekaj z tem, gdy zostaniesz mężatką.

Helena zachichotała wesoło:

— Ginę z niecierpliwości, żeby jak najprędzej donieść koleżankom z pensji: „Helena Althaus i baron Roman Gehren narzeczeni.“ Dałabym się z nim odfotografować i każdej posłała fotografję. Toż to by mi zazdrościły! — dodała z radością złośliwą.

— Bo też i będą miały czego! — potwierdziła matka tonem uroczystym. — Gehren jest z wielkiego rodu. Spełnią się moje życzenia najtajniejsze, gdy znowu wejdziesz w te sfery, do których tęsknię wiecznie, od chwili... mojego mezaljansu. O twoją przyszłość jestem zupełnie spokojną. Można zaufać gładkości i wysokiej dyplomacji, jakie Roman posiada. On potrafi płynąć przez życie, omijając starannie skały podwodne.

Nie przeczuwała nieboraczka, że i ona wraz z córeczką należy obecnie do owych skał, które się z dala opływa.

Radca z kapeluszem w ręku przemknął cicho wzdłuż salonu.

— Wychodzisz? — zapytała od niechcenia pani Aurelja.

— Chcę zaczerpnąć trochę świeżego powietrza — odrzucił głosem znużonym. — Ciągły tartas w domu, rozstraja mię niesłychanie, a woń kwiatów odurza jakby zabójczy narkotyk.

— Musi jednak tatko przyznać — wykręciła się Helena z gracją przed dużem zwierciadłem, oglądając swoją zgrabną osóbkę na wszystkie strony — że nasz apartament, dzięki całym klombom z krzewów i kwiatów podzwrotnikowych, zmienił się nie do poznania, w jakiś pałac czarodziejski!

Wzrokiem obumarłym powiódł smutno po salonie, niby ptak raniony śmiertelnie.

— Mogę tyle tylko powiedzieć, że wepchałyście w kąty najciemniejsze — głos mu dźwięczał dziwnie ponuro — te biedne, zmaltretowane rośliny, znoszące wszystko z niemą rezygnacją, kiedy im do życia koniecznie ciepła i światła potrzeba.

Radczyni nie miała czasu tym razem zacząć zwykłej z małżonkiem filipiki; zjawił się bowiem ze strony przeciwnej Maks, ów marzyciel niepoprawny, owa chodząca jej zgryzota! Przynosił, posłuszny rozkazom matki, kilka *menus* namalowanych. Na jednej winiecie był chleba bochenek i solniczka, na drugiej tłusty, bosy dzieciak w koszulce, zajadający gruszkę z wielkim apetytem i niekłamanem zadowoleniem.

Straciła ochotę oglądać resztę. Z piorunującem spojrzeniem na pospolitego bazgracza, który niestety, był jej synem, zmięła wszystko razem w jeden kłąb i rzuciła z furją w kąt, daleko od siebie.

— Dzięki niebu! — rzekła pogardliwie — że nie spuszczając się na ciebie, postarałam się o paryskie *ménus*, z francuskiemi wierszykami i owocami zagranicznemi.

Maks wysunął się i znikł za portjerą razem z ojcem.

* * *

Jak gdyby stąpał po węglach żarzących, a nie po gładkim asfalcie, tak żywo biegł Maks przez place i ulice śródmieścia, zabudowane w sposób najoryginalniejszy i w stylach najróżnorodniejszych.

Obojętnie salutował damy wielkoświatowe, snujące się po promenadzie w kapeluszach, tak jak budynki miejskie, przypominających rozmaite epoki i wszelkie narodowości. Nawet i czarna koronkowa mantyla hiszpańska, malowniczo na główce kwiatem granatu podpięta, ukazywała się wśród tłumu motylkowego. Wstręt w nim niemal budziła ta maskarada bez masek na ulicy i jeszcze przed słońca zachodem.

Biegł coraz prędzej, by stracić z oczów aleje i akacje w koszykach, niby niemowlę w stołeczku na kółkach, w którym uczy się chodzić i nie słyszeć więcej frazesów oklepanych o najświeższych modelach, lub słówek obosiecznych, któremi języczki tych dam szarpały i niby koła młyńskie, na proch ścierały sławę bliźniego.

Tyle w tych dniach doznał przykrości, tyle wycierpiał, że tęsknił niewymownie, rwał się duszą całą do chwili błogiej, kiedy będzie mógł użalić się przed jedyną istotą, z nim szczerze współczującą. Skarga jest i będzie najwyższą pociechą dusz słabych, charakterów bez energji i wiecznie niezdecydowanych.

— Prosiłbym na słówko, jeżeli łaska — zatrzymał go ktoś nagle.

Przed nim stał Gehren, z nieodstępnym, drobniutkim Löwensternem, wirującym obok wspaniałej postaci barona, niby wierny trabant około słońca. Z grzecznością wyszukaną, ale tonem tak lodowatym, jakby między nimi przepaść bezdenna stanęła i on z Maksem przez tubę z daleka rozmawiał, zwolna wycedził:

— Muszę niestety wyrzec się wielkiej przyjemności, jaka mnie czekała w salonie czcigodnych rodziców pańskich. Nie mogę korzystać z ich łaskawych zaprosin, zmuszają mię bowiem interesa familijne do wyjazdu natychmiastowego. Wytłumaczę się pisemnie, dziękując za zaszczyt wyświadczony, proszę jednak

i pana, ażebyś raczył rodzicom żal mój szczery oświadczyć.

— Spełnię pańskie polecenie — odpowiedział Maks tym samym tonem, dotknąwszy z lekka czapeczki wojskowej dwoma palcami.

Gehren uchylił od niechcenia kapelusza i oddalił się pod ramię z Detlewem, wielce pomięszanym tą drażliwą eksplikacją. Dążyli ku klubowi. (C. d. n.)

Plotki lwowskie.

— Byłeś pan w teatrze?

— Kiedy, łaskawa pani?

— Na benefisie Lubicza; przedstawiono nową komedję Abrahamowicza: „Oddajcie mi żonę."

— Tak pani, byłem.

— Przecież raz znalazłam naocznego i wiarygodnego świadka. Siadaj pan tu koło mnie i opowiedz mi o całem przedstawieniu, o komedji samej, jej autorze, grze artystów, owacjach dla beneficjanta, a zwłaszcza dla autora.

— Hm, hm, za wiele pani naraz odemnie żądasz, tem bardziej, że do moich obowiązków tygodniowych należą przedewszystkiem obecnie plotki karnawałowe.

— Uwalniam pana na dzisiaj od nich, a proszę za to o sprawozdanie teatralne. Słucham pana.

— Niech będzie i tak, zastrzegam się jednak z góry, że ani o komedji samej, ani o zasługach autora, ani o grze artystów mówić nie będę.

— Tylko...

— Tylko o tem, co stanowiło cechę tego przedstawienia — o owacjach. Co do samej komedji, gry artystów i t. d. tyle o nich napisały nasze dzienniki, że poodrzucawszy wszystkie frazesy, obsłonki, zastrzeżenia i t. p. michałki stylistyczne, mogłaś sobie pani łatwo o nich wyrobić zdanie. Pomijam zatem ten przedmiot, a zdążam do korony przedstawienia.

— Jestem bardzo ciekawa...

— Wiem o tem, i dlatego ciekawości pani na próbę wystawiać nie myślę. Otóż jak już z dzienników naszych musiałaś się pani dowiedzieć, ofiarowano panu Abrahamowiczowi, autorowi komedji, złote pióro, rzekomo od „wdzięcznej publiczności lwowskiej" pochodzące.

— Jak to rzekomo?

— Rzekomo, łaskawa pani, gdyż „wdzięcznej publiczności lwowskiej", zaręczam pani, ani się nie śniło nawet, w ten sposób uczcić pana Abrahamowicza. Najlepszym tego dowodem, że pióra tego nie wręczono sympatycznemu zresztą autorowi jawnie, przez osobę, którąby publiczność lwowską reprezentować mogła, lecz z orkiestry — bezimiennie.

— Jakto, czy pan możesz mieć za złe publiczności teatralnej, że sympatycznemu komedjopisarzowi, który jej tyle wieczorów uprzyjemnił i rozwiewając troskę dnia całego do szczerego zmuszał ją śmiechu, czy masz pan jej to za złe, że chcąc mu się odwdzięczyć ofiarowuje mu upominek...

— Nie entuzjazmujmy się tylko łaskawa pani. Powoli. Gdyby chodziło o nic więcej, jak tylko o upominek, wierzaj mi pani, że byłbym pierwszym, którybym do tego rodzaju uznania się przyłączył. Gdzie jednak satelici autora, czy naiwni przyjaciele dopuszczają się śmieszności i ofiarowują p. Abrahamowiczowi złote pióro, tam nie mam dosyć słów oburzenia na skarcenie takiego postępku.

Nie zaprzeczam panu Abrahamowiczowi talentu komedjopisarskiego i towarzyskiego, nie zaprzeczam, że cieszy się sympatją zdobytą cnotami towarzyskiemi i względami publiczności, żeby jednak cnoty te nagradzać złotem piórem, berłem niejako nad współczesnymi pisarzami, na to trzeba więcej niżeli cywilnej odwagi, której nie chcę nazwać po właściwem jej nazwisku. Hola, moi panowie! Cóż ofiarujemy prawdziwie zasłużonym? Jakże uczcimy uczonych, którzy w każde słowo swoje kładą mądrość całych wieków, jak uszanujemy ludzi, którzy więcej przemyśleli niż cała publiczność teatralna razem wzięta, jeżeli za lada fraszkę sceniczną napisaną dla rozbudzenia chwilowego śmiechu, autorowi jej dajemy berło autorskie.

Cóż zostanie dla Jeżów, Supiński h, Kraszewskich, Sienkiewiczów i tylu prawdziwie znakomitych i zasłużonych polskich pisarzów?

— Je teś pan bardzo surowym, myślałam żeś pobłażliwszy...

— Tak pani, gdzie chodzi o żart niewinny, wady jednostki, nawet błędy ludzkie, tam jestem zawsze pobłażliwym, gdzie jednak przesada dochodzi do śmieszności, gdzie manja owacyjna ogarnia całe koła społeczeństwa i zamienia je w towarzystwa wzajemnej adoracji, tam jestem nieubłaganym. — Sądzę, że teraz zgodzisz się się pani ze mną i przyznasz, że miałem słuszność piorunując na „wdzięczną publiczność lwowską"?

— Raczej na przyjaciół pana Abrahamowicza, chciałeś pan powiedzieć...

— Nie pani, na publiczność, gdyż ona takich przyjaciół z siebie wydaje. Dixi.

Plotkarz.

Korespondencja redakcji.

Wna O. Ż. l. Prosimy.

Wna St. L. w Sanoku. Przyznajemy słuszność Wnej Pani i odtąd krystalogryfów umieszczać nie będziemy, chyba z jaśniejszem określeniem.

Wny J. M. w Oświęcimie. Odpowiedź powyżej.

Wny Leliwa pod Krakowem. Dziękujemy serdecznie.

Wny W. Ros. w Tarn. I ta próba nieudatna.

„Drukarnia Polska" ulica Jagiellońska l. 16.